

# Trochę pomoże przy obiedzie



K.P.  
07.10.13

# Adam Cebula "Sprawdzian, czyli namaszczenie durnoty"

*Fahrenheit Crew*

Sprawdzian, czyli namaszczenie durnoty.

Dorosły człowiek z kilkoma świadectwami i dyplomami czasami ma taki odpał, że chce stanąć w szranki z młodymi. No cóż, zabrałem się za test do gimnazjum. I, jak to zwykle bywa, zaczęło się od wstydu, bo nie miałem pojęcia, kiedy odbył się pierwszy pokaz filmu. Ależ tak, pamiętałem, że chodziło o wyjście robotnic, że film miał kilkadziesiąt sekund... Kiedy? O rany, za naszych czasów takich dat nie wymagali... 1878? Nie... Chyba nie, bo za blisko wojny z Prusakami... Ale... Osso tu chodzi?! Że co wyżej jest napisane???

Ano, nie tak sobie wyobrażałem test na czytanie ze zrozumieniem, raczej nie spodziewałem się niczego w stylu: skoro w 1895 roku odbył się pierwszy pokaz filmu, to kiedy odbył się ów pokaz filmu? Niestety, wkrótce odzyskałem pewność siebie i spojrzałem na test już okiem zarozumialca. Zaraz... a dlaczego autor zwraca się do czytelnika w pierwszej osobie liczby mnogiej? Ano, nie tylko IHMO, to się da uzasadnić: by stworzyć wrażenie odwoływania się do powszechnych doświadczeń.

Pudło, wersja, którą wedle ministerstwa należało wybrać, brzmi, „by nawiązać bliższy kontakt z czytelnikiem”.

„Kiedy na ekranie samochody koziołkują w powietrzu albo bohater jest o krok od śmierci, wstrzymujemy oddech, zsuwamy się na krawędź fotela, choć wiemy, że to, co widzimy, nie dzieje się naprawdę. To magia kina, czyli zdolność do wzruszania, zadziwiania i przerażania, zapełnia sale kinowe od dnia, w którym na dużym ekranie został wyświetlony pierwszy w świecie film”

Wypada się zgodzić, że autorzy testu chcieli bardzo, by wyglądało, że jest tak, jak tej „dobrej” odpowiedzi. Jeśli jednak dorzucimy drobinę sceptycyzmu wobec dydaktycznych kompetencji, to sprawy się mogą nieco skomplikować. Jeśli zauważymy, że przemawiamy do ludzi w wieku, w którym chłonie się wieści o świecie ze wszelkimi odcieniami, że w oficjalnej perfumie wyczują wspomnienie po ukradkiem wypalonych sportach, czy czymś jeszcze bardziej nielegalnym, to...

No cóż, problem humanistyczny, możliwe są różne spojrzenia i interpretacje. W moim subiektywnym odczuciu, to, co należało zakreślić, nie jest typowym i oczywistym celem zabiegu użycia pierwszej osoby liczby mnogiej. Jest zaledwie najmniej kulawą odpowiedzią z zaproponowanych. Dziecko komuny, wyuczony na swego rodzaju tajnych kompletach, ależ oczywiście, czepiam się. Jednak nie daruję: dlaczego napisano: „wstrzymujemy oddech”, „zsuwamy”, „wiemy”, a nie: „wstrzymujesz oddech”, „zsuwasz”, „wiesz”? Wiesz, Kochany Czytelniku? Jeśli jesteś z mojego pokolenia, to znasz (znowu bezpośrednio zwracanie się do czytelnika, wmawianie mu...) ten ton. Pachnący czerwienią pierwszomajowych przemówień...

Pierwsza osoba liczby mnogiej jest taką oto informacją: zbiorowość, do której należysz, „wstrzymuje oddech”, „zsuwa się na krawędź fotela”. Jeśli, kochasiu, chcesz być z nami, to też tak musisz. A jesteś z nami, lub przeciw nam. Jasne?

Cóż, zapewne lata indoktrynacji wolnościowej skrzywiają moje patrzenie. Awanturuję się, fakt, lecz ów agitacyjny ton, a jakże, budzi we mnie protest i niesmak. Dziś jeszcze bardziej chodzi o wzbudzenie strachu przed wyłamaniem się ze wspólnoty. Pierwsza osoba liczby mnogiej brzmi już

to z estrad, już to improwizowanych scen, ekranów, na których dwoją się i troją naganiacze, chcący, by zaskoczony hałasem Dreptak oddał pieniądze za jakieś obiecanki koncertom, bo przecież wszyscy (pierwsza osoba liczby mnogiej) się cieszymy, że firma wyprodukowała ciasteczka, razem pędzimy do kasy. Ależ oczywiście, pozostając na określonych historyczną świadomością fundamentach, czepiam się.

Czepiam się dalej: sformułowanie „magia kina” nie odnosi się po prostu do niezwyklej siły oddziaływania. Rozwiązując test, musimy to zakreślić, lecz „z braku laku”. Bo wszystkie inne odpowiedzi nie pasują jeszcze bardziej. Jeśli podskakujemy, albo zsuwamy się, oglądając fruujące po ekranie samochody, nawet, jeśli ciśnienie nam skoczyło, a serce wykazuje tachykardię, to niekoniecznie magia kina. Szczerze mówiąc, tak działa sensacyjny horror, czy wyciskacz łez, utwory poruszające tak zwane, niestety, uczucia prymitywne, będące nawet synonimem kiczu. Ależ oczywiście, autorzy testu wcale nie chcieli przekazać, że chodzi o kicz. Tym bardziej trzęsie mnie, że im, najwyraźniej, tak przypadkiem wyszło.

„Wprawdzie wynalezienie telewizji oraz wideo wpłynęły na zmniejszenie liczebności widowni kinowej, ale na seanse dobrych filmów wciąż ustawiają się kolejki. Łatwo zrozumieć: telewizja nie może dostarczać tylu wrażeń, co oglądanie filmu na dużym ekranie.”

Tia... Czyli chodzi o rozmiar?

Czepiam się. Ależ domniemanie niewinności podsuwa nam, że nie chodzi o ekran dużych rozmiarów, a o magię miejsca zwanego kinem. A jednak, podtrzymuję, że, „in my humble opinion”, tekst w zaprezentowanej formie usiłuje wyjaśnić fenomen tego, że w dobie współistnienia telewizji i kina ludzie chcą jeszcze chodzić do kina. Chyba jednak tak. Tak jakoś z całości wychodzi, że usiłujemy wskazać jakieś materialne, niemagiczne (duchowe?) powody. Zostaje tylko rozmiar. Ministerstwo dokłada do pieca, sugerując, że magia kina polega na sile, a nie choćby wyjątkowości doznań, panie boziu broń, ich finezji, jaką odczuwamy, oglądając w nim filmy.

W zaprezentowanym kawałku, w połączeniu z pytaniami, materiał do analizy rozkłada się na obie łopatki „w temacie magii kina”. Że rozmiar (ekranu), to śmieszne. Jednak nie napięcie powoduje, że fragment Rejsu, w którym Maklakiewicz opowiada Himilbachowi, jak to nic się nie dzieje w polskim kinie, w którym kamera kołysze się w rytmie słynnej bałtyckiej krótkiej fali, od której nawet Sir Francis Drake miał się porzygać (dobrze, nic nie wiemy, aby zapaścił się w te niegościnne strony, to tylko zarozumiała anegdota polskich rybaków), publiczność ogląda ciągle z tym samym zachwytem, pomimo tego, że zna sceny na pamięć do najdrobniejszych szczegółów.

Przygotowany do analizy fragment sprowadza do jednego poziomu „Trędowatą” i „Cierpienia młodego Wertera”. W konkurencji siły oddziaływania oba teksty pochłonęły ludzkie istnienia, tyle że czytelnicy się topiły, a nie strzelały, jak przystało poetom. Myślę, że autorzy testu przeraziliby się możliwością postawienia obok siebie Goethego i Mniszkówny, ale tak, między innymi, wyszło...

Wymagane odpowiedzi trywializują temat jeszcze bardziej, przy okazji ucząc dzieci, że istotą nie jest zadumanie się, czemuż to wynurzenia inżyniera Mamonia najbardziej smakują, gdy taśma jest czarno-biała i porysowana, słychać klekot projektora i - od czasu do czasu - przy akompaniamencie klątw operatora, zdarza się przerwa, lecz chodzi o opanowanie takich zbitek słownych jak „magia kina”, „niezwykła siła oddziaływania” oraz, że jak pasuje, to można stwierdzić, że rozmiar się (jednak) liczy, byle nie za jednoznacznie, bo wyśmiejają.

Gdzieś w tle owej oficjalnej perfumy, ach oczywiście, nadinterpretacja, jawi się ta nuta, domyśl, że narybek szkolny, opanowawszy zręby bełkotania intelektualnego, dojdzie i do pozostawiania na fundamentach określonych historyczną świadomością i nada całości brzmienie odpowiednie do

ducha czasów... Mówiąc bardziej wprost: oberwawszy po głowie pierwszą osobą liczby mnogiej, zrozumie, że nie chodzi o rozwiązanie zadania, nie o prawdę, ale o umiejętność dostosowania się do ministerialnej linii myślenia. Jeśli zgadłeś, jak chcieliśmy, aby rozwiązywać te testy, to nieważne, czy to mądre, logiczne, czy wręcz przeciwnie, jesteś swój i masz zaliczone.

Czepiam się, lecz z jednej strony, na poziomie szkoły podstawowej rzuca się na zagadnienie, które może przyprawić o drżenie łydek niejednego filozofa i kulturoznawcę. Raczej nie wiemy, wszystko jedno czego, ogólnie nie wiemy, nic nie rozumiemy, gdy spytamy o magię, czy to teatru, kina, obrazu, fotografii, książki, aż po rysunki naskalne. To tajemnica, dlaczego ludzie oglądają, malują, czytają. Z drugiej, mamy próbę odpowiedzi, która jest tak banalna, że może wzbudzać śmiech, i nachalna jak metody dydaktyczne profesora Pimki.

Mamy wreszcie wyraźne podejrzenie, że „oni na historii filmu nie za bardzo się wyznają”.

Czy bracia bracia August i Louis Lumiere wynieśli, jak to wynika z fragmentu, kino do rangi sztuki? A Georges Méliès? Dlaczegoż to jest wymieniany jako pierwszy producent filmów z historią?

Współ z pytaniami, prezentowany tekst stanowi materiał, który z powodu hasłowości, niespójności, trywializacji, ponieważ temat przerósł autorów, nie nadaje się do logicznej analizy, nadaje się na zgadywanke, co mianowicie „oni” chcieli, by zakresić?

Oczywiście układający tekst chcieli być dydaktyczni, na przykład nie demoralizować młodzi, ucząc ją cwaniactwa, na przykład, lecz już z pewną nieśmiałością, podejrzewamy, nie chcieli przekazać, że o powodzeniu decyduje rozmiar, zaś o jakości utworu – efekty specjalne. Lecz dostrzeżony margines interpretacji niepokoi.

Tak bardzo, że trudno nam (pierwsza osoba, liczba mnoga) powstrzymać się przed uwagą, że dobry materiał na egzamin z języka polskiego przygotowujemy, gdy samemu ów język opanujemy, przynajmniej w zakresie czytania ze zrozumieniem. IHMO tym słuszniejsza jest to rada, im częściej (ja, autor) się przekonuję, że chciałem powiedzieć to, a wyszło mi tamto. Zaiste, być może wiem jak nikt inny, że warto w materii tego, co też się napisało, zasięgać uprzejmej opinii innych. Że potrzebujemy redakcji i redakcja powinna tekst opracować. Że polska język, trudna język.

Muszę przyznać, że dopiero to doświadczenie uświadomiło mi, jak rozumni byli autorzy podręczników, z których się uczyłem, których szczerze nienawidziłem za uporczywe epatowanie tchnącym muzealną stęchłą klasą. Nie, to nieprawda, że dzięki temu przekazywali nam wielokrotnie sprawdzone, więc wiarygodne fakty. Oni zwyczajnie zdawali sobie sprawę z tego, po jak grząskim gruncie stąpają. Że ich pomysły niekoniecznie będą dobre. Myślę, że rozumieli też, że mogą przekazywać głupoty. Aliści, kanoniczne. Jakkolwiek w czyjejs, powiedzmy Gałkiewicza, opinii poezja nie zachwyca, to jednak dobrze przynajmniej wiedzieć, że przyjęła się opinia powtarzana przez profesora Bładaczkę, że Słowacki wielkim poetą był (i basta). Och, jakże pięknie byłoby, gdyby do niektórych głów doszło choć tyle, że na przykład nic z Miłosza, ale to, kurna, zupełnie nic, nie chwytają. Ach, gdybyż szkoła tak uporczywie nie rezygnowała z tego, by absolwentów nauczyć, choćby tego, czego nie umieją. O ileż mądrzejsi ludzie by nas otaczali!

Reszta testu pozostaje w stylu, który nie za bardzo jest w zgodzie z tym, co, jak mi się zdaje, wkładano ongi ludności do głowy w charakterze wiedzy systematycznej lub uporządkowanej.

Najbardziej rozczuliła mnie odpowiedź na zadanie "napisz opowiadanie". Jak to było? "Wstęp, rozwinięcie, zakończenie". Tak sobie pomyślałem, że autor zadania miał szczęście, że nie natknął się w swoim cyklu szkoleniowym na mojego świętej pamięci tatusia, który, przy całym humanistycznym nastawieniu do świata, wymagał tak zwanego konkretności. Trafiał go szlag, gdy delikwent próbował

udawać, że coś wie. Doprawdy, z sześciopunktowego opisu, jak owo opowiadanie ma wyglądać, trudno wydusić jakiś porządek, a w szczególności „wstęp, rozwinięcie zakończenie”. To raczej przypomina coś, co się nadaje na Zakużoną...

Bojowy nastrój zdechł mi przy zadaniu z matematyki. Albowiem dobrze pamiętałem, że „ten” typ zadań rozwiązujemy BEZ użycia takich sztuczek, jak układ równań. Właśnie na tym polega ich uroda. A mnie, niestety, matematyczna maszynka zatkała myślenie. Musiałem się sprężyć. To idzie mniej więcej tak: poszedłeś do sklepu i kupiłeś 3 jajka i 4 bułki. Zapłaciłeś 5,50 złote. Kumpel kupił 5 jajek i 4 bułki i zapłacił 6,50 złote. Ile kosztowało jajo, a ile bułka? Ano, kluczowe jest to, że liczba bułek w obu zakupach jest taka sama. Zmienia się tylko liczba jajek. Skoro za dwa jaja więcej zapłaciliśmy dodatkowo 1 złote, to, jak by nie kombinować, jajo po 50 groszy. Proszę potraktować to jako przykład, nie straszę, jajami nie handluję, a tym bardziej bułkami. Bułka po złotemu jest u mnie, ale tylko przykładowo. Zaglądam więc do rozwiązań i... układ równań.

Nie wiem, Kochany Czytelniku, czy czujesz finezyjną różnicę? Rozwiązanie liczbowo jest poprawne, ale nie o to chodzi. Zadania bowiem są sprawdzianem pewnych umiejętności, dobre zadania – bardzo konkretnych. Istotą sprawy jest dostrzeżenie, że w tekście jest podana informacja, że – na przykład – sztuk 2 kosztuje 1 złoty. Że ta informacja tam jest, mimo tego, że zamotano ją stwierdzeniem, że jeśli zrobimy inne zakupy, to inaczej zapłacimy. Zastosowanie układu równań jest świadectwem, że informacja nie dotarła. Niestety, także do ludzi w ministerstwie. Patrzyli na zadanie, które sami znaleźli pewnie w starych podręcznikach i... kiszka.

Q... Coś na Q. Cały ten test jest jakiś... krzywy. Co się dzieje?! Malkontencę? Może... Może jest tak, że z wiekiem pokręciło mi się, mam jakieś kosmiczne wymagania?

Człek wpędza się sam w kompleksy. Dziadzieję, czasy mi psieją, znaczy, najlepiej na wycup. Konkluzja z rozwiązywania testu była taka: jestem w stanie się domyślić, czego by ode mnie chcieli. Poradziłbym sobie, lecz... jakoś ciężko pozbyć mi się poczucia „intelektualnej przewagi”. Jednocześnie mam poczucie dojmującej obcości – aby tu i teraz żyć, trzeba udawać. Ja nie chcę udawać, po co wszyscy mamy udawać, dlaczego mam zgadywać, co ktoś chce, abym powiedział, dlaczego nie mówić, jak jest?! Dlaczego mam za zadanie udawać GŁUPIEGO?

Przesłanie testu jest proste: sprawdzamy, na ile delikwent, czyli gimnazjalista, potrafi udawać GŁUPIEGO.

Ciężko pozbyć się wrażenia, że na przestrzeni mojego życia jakaś wiedza została zwyczajnie zgubiona. Jeszcze niedawno wklepywano ją do głów z mniejszym lub większym skutkiem, może odtwarzano bez rozumienia, ale była w żywym obiegu, a teraz to, co za dawnych, nieodległych jednak czasów było kanonem kultury, gdzieś w kosmos uleciało. Skóra mi się na tyłku marszczy ze strachu, gdy sobie wyobrażę, jak towarzystwo trafia na zadanie znalezienia najmniejszego wspólnego podzielnika i musi wytłumaczyć, po ki diabeł to w ogóle robi, nie mówiąc już o wytłumaczeniu, jak procedura działa. Sinusy i kosinusy przekraczają zakres wiedzy maturalnej. Poróżniczować sobie, jak Cyfranio?

Pociąć się tępym niezbędnikiem. Pewien poseł, rocznik 1979, oświadczył: Powstanie Warszawskie? To około 1988 roku. Niestety, to jest miara poziomu zgłupienia, nie tylko tego konkretnie osobnika, ale całego środowiska. Znaczy, można mieć zupełną sieczkę w głowie, a i tak nikt tego nie zauważy w okolicy budynku znanego jako najdroższy i najgorszy cyrk w kraju.

Skutki? Jak najbardziej. Oto kolejny poseł składa projekt zmiany prawa rowerowego, proponując, by rowerowcy swoje bicykle poddawali okresowym przeglądom technicznym (na przykład można by sprawdzać, czy dany rower posiada oba, za przeproszeniem, pedały). Jakoś facet nie boi się, że

zostanie wygwizdany, że za jego plecami kumple zaczną kręcić kółka po czole. Skoro Powstanie mogło być około roku 1988, to przegląd techniczny roweru mieści się jak najbardziej w granicach dopuszczalnego błędu... przepraszam, pomiarowego uchybu oglądu świata.

Obok testów gimnazjalnych pooglądałem sobie wywiad z panem profesorem. Hartmanem? Pewnie tak. Nieważne. Pan profesor stwierdził, że młodzież nie jest zainteresowana nauką, w związku tym nie ma co biadać nad obciepywaniem programów nauczania. Bo to fikcja, że młodzi się uczą. Więc nie labidzić i nie uczyć.

Pomijam tu ideologiczną dyskusję nad sposobem nauczania historii - czy ma podnosić morale patriotyczne, czy też może uczyć krytycznego spojrzenia na własny naród. Uważam, że - po pierwsze - powinna wyuczyć ludność, że głupota to wstyd i hańba, a jak się wpadnie na pomysł, że - powtórzę, bo nie mogę dojść do siebie - Powstanie Warszawskie było w roku 1988, to dla własnego bezpieczeństwa trzeba się ewakuować do osłej ławki, bo grozi nam wybranie się na przegląd techniczny bicykla.

Konkluzja jakaś? Skoro o głupocie, to trudno pokusić się o mądrość. Może nie mam racji, ale zdaje mi się, że mija nam strach przed skutkami ciemnoty. Niewiedza staje się swojskim zjawiskiem. Można niczego nie rozumieć, mylić okresy historyczne, można nie mieć najbardziej podstawowej wiedzy rzeczowej. Można wreszcie z powodzeniem udawać mądrego. Można, bo wiedza jawi się jako coś wymyślnego. Nie ma wiedzy rzeczywistej, opisującej świat, jest tylko propaganda, określająca, do jakiej partii politycznej należysz.

Nie ma hamulców opartych na kompetencji. Na przykład - jeśli chodzi o wymyślanie programów nauczania - że nie wymyślę, bo się na tym nie rozeznaję. Bo nie mam wiedzy. Wręcz przeciwnie - jakoś się wymyśli, nieważne, czego się młódź naucza, bo po kij nam ta wiedza?!

Z dopuszczalnością głupoty i zanikiem strachu przed nią idzie w parze nieuchronnie przekonanie, że wiedza jest zbędna, że można przecież wszystko wygooglać, a jak się człowiek kompletnie skompromituje, tak, że niektórzy (którym czas na wycup) muszą szczęki z podłogi zbierać, to nam wybaczą. Nikt nic nie umie, nic nie wie, nie wyróżnimy się.

Cóż... w sumie jest normalnie. Bardzo przykry proces nauczania powoduje, że poddani mu uczniowie i wspominający go absolwenci starają się za wszelką cenę ból odsunąć od siebie. Ludzie zawsze przed nauczaniem bronili się rękami i nogami, zawsze wymyślali różne pokrętne argumenty, by do szkoły nie chodzić. Wystarczy, by na dworze się ciut cieplej zrobiło, ptaszki zaśpiewały - i cała klasa wieje na wagary. No i jeszcze jest to chwalebne i uzasadnione.

Jakaś konkluzja? Czy trzeba powtarzać, do czego prowadzi ciemnota? To niekoniecznie retoryczne pytania, natomiast mam jedną odpowiedź: udawanie głupiego staje się koniecznością. Chcesz być zaakceptowany, to uznaj, że gdy ktoś odwołuje się do doznań miliona much, chce nawiązać bliższy kontakt z czytelnikiem. Chcesz zdać test - nie wygaduj o jakichś tam wrażeniach estetycznych w kinie. Chcesz zostać posłem? Nie wykazuj się, że wiesz, kiedy było Powstanie i jeszcze które, bo przestanie się to zgadzać z partyjnymi prawdami. Różnij głupa.

Z tego punktu widzenia obsmarowywane testy są jak najbardziej na miejscu. Nie jest bowiem istotne, co wiesz o świecie, czy potrafisz znaleźć najmniejszy wspólny dzielnik. Ważne jest to, czy, wstąpiwszy między wrony, kraczesz, jak i ony. Czy potrafisz się zorientować, w którym momencie klaskać, jaka głupota, w stylu „nieważna produkcja, ważna sprzedaż”, teraz obowiązuje. Testujemy sprawność twego konformizmu, sztuki udawania. To podstawa odniesienia sukcesu w życiu.

Taki mamy czas...